

Pożegnanie

- 6 Jerzy Baczyński
**Niezwykła kronikarka
ćwierćwiecza**
- 7 Janina Paradowska
o pracy, życiu i śmierci...
- 8 Mariusz Janicki,
Wiesław Władyka
Polityka według Janiny

Tematy tygodnia

- 12 Jędrzej Winięcki SZCZYT NATO
**Nowe wyzwania,
nowe odpowiedzi**
- 16 Marcin Kołodziejczyk
**Niepewność
Polaków na Wyspach**
- 19 Joanna Cieśla
Wygaszanie gimnazjów

Polityka

- 22 Anna Dąbrowska
**Prywatna wendeta
ministra Ziobry**
- 26 Wojciech Szacki
Kolejna kadencja Prezesa

Społeczeństwo

- 30 Aleksandra Żelazińska
**Wakacyjny odwyk
od internetu**
- 34 Joanna Podgórska
**Jak PiS igra
ze środowiskiem LGBT**
- 36 Joanna Gierak-Onoszek
Ciąża mimo raka

Rynek

- 40 Rafał Woś
**Mateusz Morawiecki
– pisowski Tusk**
- 44 Rozmowa z dr. Jakubem
Borowskim, ekonomistą
z SGH, o tym, czy teraz Polsce
potrzebne jest euro

Świat

- 48 Agnieszka Lichnerowicz,
Paweł Pieniążek IRAK
Tragedia jazydów
- 51 Marek Rybarczyk
**Emeryci uciekają
do tropików**
- 54 Adam Szostkiewicz USA
Trump – exit Ameryki

Historia

- 56 Jerzy Besala
Rokosz Lubomirskiego

6, 7, 8



Żegnaj Janko!

16



Wyspiarze kontra Polacy

19



Zabawy szkołą

48



Jazydzi – to jest ludobójstwo

- 60 Jan M. Długosz
**Jak Indianie pokonali
armię USA**

Nauka

- 62 Rozmowa z dr. hab. **Tomaszem
Waliszewskim** o tym,
jak ratować zniszczoną
przez barbarzyńców
starożytną Palmirę
- 66 Karol Jałochowski
**Wszystkie czasy
Juliana Barboursa**
- 68 Alicja Karasińska
Gen prawdziwego Polaka

Kultura

- 74 Rozmowa z **Krzysztofem
Grabowskim** z Dezertera:
co się stało z wolnościowym
mitem Jarocina
- 78 Dorota Szwarzman
**Niech grają młodzieżowe
orkiestry!**
- 80 KAWIARNIA LITERACKA
Łukasz Orbitowski
- 82 Rozmowa z **Michałem
Jaskulskim**, współreżyserem
„Przy Planty 7/9”, dokumentu
o pogromie kieleckim
- 84 Justyna Sobolewska
**Tłumacze – nagradzani,
ale źle opłacani**
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 88 Agnieszka Rodowicz
Polskie broje eksportowe
- 92 Marcin Piątek
Euro 2016: piłka narodowa
- Na własne oczy**
- 100 Tekst i fotografie Filip Springer
**Co wyszło
z architektonicznych
planów z lat 70.**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 14 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 96 Hartman
- 97 Passent • 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Dobre i złe kulti

Tych, którzy jeszcze nie wiedzą, o co naprawdę chodzi, w zeszłym tygodniu uświadomił biskup Libera. „To nie o trybunały chodzi, ale o to, że Polska jest niewygodna”, poinformował podczas obchodów 40. rocznicy wydarzeń radomskiego Czerwca.

Libera nie kryje, że „nowoczesna demokracja tu w kraju i na pogubionym duchowo Zachodzie paniecznie przstraszyła się Polski”. A najbardziej tego, że Polska na dobre „odnalazła swoją chrześcijańską tożsamość” i jest dziś solidarna „z wiarą i nadziejami prostego człowieka”. Taka Polska się nowoczesnej demokracji nie podoba, dlatego w odwecie nowoczesna demokracja dopuszcza się wobec Polski „krzywd i niesprawiedliwości”.

To, co Libera jako biskupa boli szczególnie, to lewacka polityka multi-kulti, dla której – co jest absolutnie nie do przyjęcia – „wszystkie kultury są jednakowo ważne”. Taka polityka to zdaniem Libery pomysł z piekła rodem, bo wiadomo, że jak jest za dużo kulti, prosty człowiek może się pogubić. Prostemu człowiekowi powinno w zupełności wystarczyć jedno, dwa kulti. Np. w Polsce, obok tradycyjnego kulti religijnego, bardzo popularne jest obecnie kulti związane z osobą prezesa Jarosława Kaczyńskiego, zbawiciela Polski. O wielkim kulti, jakim otoczony jest prezes PiS, może świadczyć

zachowanie grupy emerytów z Pabianic, którzy – jak pisze „Gazeta Wyborcza” – przez 10 miesięcy malowali jego portrety, a następnie zorganizowali ich wystawę. Przedtem ci emeryci malowali wyłącznie pejzaże i półnagie modelki i dopiero pod wpływem sugestii opiekuna postanowili sprawdzić się w ambitniejszej tematyce. Kto wie, może dzięki nim kacyzm, funkcjonujący dotąd tylko w polityce, już niedługo stanie się dominującym kierunkiem również w malarstwie.

Zachęcanie emerytów do malowania portretów Jarosława Kaczyńskiego to moim zdaniem strzał w dziesiątkę. W ubiegłym roku na emeryturę przeszło 224 tys. Polaków i ludzie ci powinni mieć się czym zająć, żeby móc ukoić nerwy i poprawić sobie samopoczucie. Do malowania prezesa można by wciągnąć także przedstawicieli innych środowisk, np. górników, chłopów czy nauczycieli, zwłaszcza tych, którzy w wyniku reformy edukacji będą musieli pójść na bezrobocie. W grę nie muszą koniecznie wchodzić portrety olejne czy pastele. Sztuka to wolność, dlatego uważam, że jeśli kogoś nie stać na farby, to niech w dowód sympatii za to, co prezes dla nas zrobił i jeszcze na pewno zrobi, sporządzi sobie prezesa z dykty albo drutu, wytnie go z blachy, wyplecie ze słomy, ewentualnie ulepi ze śniegu.



Kryjówka na upalne dni

3

3

6

1

2

4

5

- 1 DRAGAN dozownik mydła, 29,99
- 2 DRAGAN kubek na szczoteczki, 19,99
- 3 DRAGAN pudełko, 3 szt., 69,99
- 4 BOLMÅN ręcznik, D30 x S30 cm, 5,99
- 5 FÄRGLAV ręcznik, D100 x S50 cm, 29,99
- 6 TVINGEN zasłona prysznicowa, 29,99

Więcej produktów, odpowiedzi i ofertowych niespodzianek na [IKEA.pl](https://www.ikea.pl)

Kup książkę



Żegnaj Janko!



Jerzy Baczyński

Na cmentarzu Rakowickim w Krakowie pochowaliśmy Jankę Paradowską. Jeszcze w poniedziałek była w redakcji, a w końcu tego samego tygodnia złożyliśmy małą urnę z jej prochami do grobu. Obok męża Jerzego Zimowskiego, tak jak chciała. Janka i Jurek to była w naszym otoczeniu jedna z najpiękniejszych historii miłosnych dwojga dojrzałych już ludzi, którzy, jak mówiła Janka, spotkali się niesprawiedliwie za późno. Tragiczna śmierć Jurka przed kilku laty złała ją bezpowrotnie, ale też dodała jakieś desperackiej odwagi wobec życia. W krótkich przerwach od gorączkowej pracy, która stała się dla niej sensem trwania i ucieczką od samotności, mówiła, że już tylko czeka na spotkanie z mężem. „Chciałabym umrzeć tak jak Jurek – szybko” – powiedziała w którymś z wywiadów. I tak się stało: zmarła nagle, w nocy, nie wiemy, czy na zawał czy udar, w wieku zaledwie 74 lat. Zaledwie, bo Janka wydawała się nam niezniszczalna; zaciekle pracowała, pasjonująca się polityką, ale też teatrem, literaturą, muzyką, podróżująca po kraju za kolejnymi premierami scenicznymi; nienagannie elegancka, zadbana, ale też autoironiczna, z aktorskim zacięciem przymierzająca kolejne kostiumy i pozy.

Akceptowała swój publiczny wizerunek – osoby zdecydowanej w poglądach, apodyktycznej, upartej, ale było to nabudowane na osobowości wrażliwej, ciepłej, przyjaznej ludziom, nawet politykom. Bo politykę i polityków traktowała serio. Sądzę, że oczekiwała od nich przede wszystkim odpowiedzialności za to, co robią i mówią, i była głęboko, osobiście urażona, jeśli nakrywała ich na kłamstwie, chamstwie, hipokryzji, niewiedzy, manipulacjach. Jako dziennikarka polityczna zaczynała swoją karierę przy obsłudze Okrągłego Stołu. Wcześniej związana z pierwszą Solidarnością (była szefową organizacji w swoim wydawnictwie), poglądami zacumowała gdzieś w okolicach ówczesnej Unii Demokratycznej i takiemu „misyjnemu” postrzeganiu polityki, w stylu Kuronia czy Mazowieckiego, pozostała wierna. Uważała, że gry i gierki polityczne, które obserwowała i opisywała, nie mogą być celem samym w sobie, że gra o tron nie jest sensem polityki, że w tej zabawie chodzi przecież nie o nich, lecz o nas. O nasze życie. Podobnie, według kryteriów odpowiedzialności i kompetencji, oceniała media; nie cierpiała tabloidów, internetowej sieczki, coraz mocniej dominującego hejtu. Nad urną z prochami Janki, żegnając ją w imieniu dziennikarzy i czytelników POLITYKI, widzów Superstacji, gdzie miała stały program, koleżanek i kolegów z TOK FM i z innych mediów, z którymi współpracowała, powiedziałem, że Janka, Pierwsza Dama naszej publicystyki, „była sumieniem polskiego dziennikarstwa i polskiej polityki”. Była.

Uroczystości pogrzebowe miała wzruszające; setki osób, mnóstwo dziennikarskich gwiazd; przyjechał specjalnie i przemawiał przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk, który miał do Janki zawsze szczególny sentyment, pewnie jeszcze z zamierzchłych czasów, samego początku lat 90., gdy Janka pisała książkę „Teczki liberałów” (byłem tej książki współautorem), poświęconą jednemu z najciekawszych wtedy politycznych

środowisk: młodziutkim, głównie gdańskim, liberałom. Jedyny dysonans tej uroczystości (pewnie określenie jest niewłaściwe) – żadnego słowa, listu ani jednej wiązanki kwiatów od dzisiejszych władz Rzeczypospolitej, choćby od jakiegoś urzędnika wojewódzkiego. Wiem, że Janka była ważną dziennikarką opozycyjną, bardzo krytyczną wobec PiS, ale przecież kształtowała opinie i poglądy milionów Polaków od samych narodzin Wolnej Polski, przez ćwierć wieku była ikoną polskich mediów.

Paradowska ani za życia, ani po śmierci nie dostała od państwa polskiego nawet najmniejszego odznaczenia. Zajrzyjcie państwo do internetu, gdzie wśród radosnego hejtu, jakim prawica przyjęła śmierć Janki (i tak – dziękuję – temperowanemu przez niektóre prawicowe portale), są też zwyczajowe wypominki, że była prominentną „dziennikarką III RP” i „salonu”, w dodatku kiedyś pracowała w prasie PRL, a nawet krótko należała do PZPR.

Tylko że Janka rzuciła legitymację partyjną 13 grudnia 1981 r. i cała jej droga zawodowa to podróż z PRL do wolnej, demokratycznej, nowoczesnej Polski. Tymczasem mam nieodparte wrażenie, że jej przeciwnicy i prześmiewcy właśnie odbywają podróż w drugą stronę, do peerelowskiego modelu władzy, kultu pierwszego sekretarza, kierowniczej roli partii, etatyzmu, wszechobecnej nomenklatury i prymitywnej propagandy.

A z tym „salonem”? Janka wychowała się w biedniutkiej krakowskiej rodzinie (czytam ponownie Jej autobiografię „A chciałam być aktorką...”), sześć osób w jednym pokoju; dorabiała, przyszywając guziki, potem jako barmanka. Skończyła polonistykę, dostała się na studium dziennikarskie w Warszawie i już tu została, samotnie, bez mieszkania i wsparcia rodziny, próbując dać sobie radę. Teraz dla rządzącej prawicy Janka i ludzie z podobnymi życiorysami są „narzuconą elitą”, „salonem”, gorszymi Polakami, niegodnymi szacunku ze strony państwa. Chciałoby się zapytać: dlaczego mówicie takie podłości? Co on, Sami Wiecie Kto, z wami zrobił? Dobrze, może to nie jest moment na polemiki. Jance do niczego to już nie jest potrzebne, podobnie jak żaden krzyż zasługi. Ma i będzie miała status i legendę jednej z najważniejszych i najbarwniejszych postaci dziennikarstwa Wolnej Polski.

Janina Paradowska zostawia ogromną wyrwę w naszej redakcji. Miejsce, gdzie drukowaliśmy jej „Tydzień w polityce”, dziś jest puste. Wpisaliśmy tam, jako pożegnanie, trochę cytatów z jej wypowiedzi, nie o polityce, ale wreszcie o niej samej. Ale zastanawiałem się, co by sama napisała w tym tygodniu? Czego nie napisała? Cóż, myślę, że na pewno pisałaby o „nowej” pisowskiej ustawie o Trybunale Konstytucyjnym, praktycznie i bezprawnie – pod osłoną Brexitu – likwidującej Trybunał. Janka chyba domagałaby się, aby Trybunał w obecnym składzie osądził tę kolejną „ustawę naprawczą”, powtarzającą większość zapisów już zakwestionowanych przez TK i Komisję Wenecką. Bo TK to jest, tak uważała, ostatni szaniec broniący obywateli przed kompletną samowolą władzy. I już nie ma dokąd się cofać.

Myślę, że oburzyłaby się na prezydenta Dudę z powodu kolejnej antykonstytucyjnej uzurpacji: odmowy zaprzysiężenia kilku, prawidłowo wybranych, sędziów sądów powszechnych. I wzywałaby sędziów do obrony niezależności i solidarności środowiska. Pewnie napisałaby o Konwencji PiS i wyborze Jarosława Kaczyńskiego na prezesa, większością 1008 do 7 głosów. A zwłaszcza o „północnokoreańskich” dowcipach prezesa („no, jednak mamy demokrację w partii”: „wybraliście mnie, ale nie pytałeś, czy się zgadzam, ha, ha, ha”) i zapowiedzi nowej konstytucji. O tyle niepotrzebnej, że PiS zmienia przecież konstytucję zwykłymi ustawami. A Janka miała, podobnie jak Jurek Zimowski, prawnik, opozycjonista, minister w pierwszych rządach III RP, zgoła nabożny stosunek do konstytucji i przestrzegania prawa. Napisałaby...

Janka, Ty już odeszłaś do swojego Jurka. My, co potrafimy, będziemy robić za Ciebie.

Janina Paradowska 1942–2016



Będzie strasznie pusto

To ostatnie, specjalne wydanie cotygodniowej rubryki Janki Paradowskiej. Na pożegnanie wybraliśmy fragmenty jej własnych publicznych wypowiedzi. O pracy, życiu i śmierci.

PRACA

Chciałam być liczącym się dziennikarzem. Takie było moje marzenie.

Ja tylko pracuję. Bez przerwy przyszywam guziki. Jestem rzemieślnikiem, a nie wielką eseistką. Słucham, co politycy mówią w Sejmie, dopytuję, czytam stenogramy. Paradowska to pracowita mrówka. Ja nie umiem pisać bez kontaktu z ludźmi.

Nigdy nie lubiłam chodzić w stadzie. Mam jeden problem – politykę traktuję poważnie i lubię polityków. Lubiłam kiedyś także Kaczyńskiego. Dziś go słucham i nie rozumiem.

Politycy zbiorowo uznali, że ludzie obchodzą już tylko emocje. A najsilniejszą emocją jest nienawiść.

Dopóki ludzie będą atakowani polityczną sensacją, będzie coraz większe do tej polityki zniechęcenie. A ja uważam, że polityka jest ciekawa i wcale nie uważam, żeby była do spodu głupia. A poza tym ludzie muszą się przekonać, że polityka ma rzeczywiście bezpośredni wpływ na ich życie.

Polityką rządzi przypadek i ludzkie ambicje. Ale chcemy to sobie jakoś racjonalizować. Stąd spiskowe teorie, misterne konstrukcje publicystów, które są zwykłe funta kłaków warte.

ŻYCIE

Właściwie mogłabym nie spać. To byłoby łatwe, bo zasypiam tylko po proszkach. Od 13 grudnia 1981 r. Przetańczyłam cały karnawał Solidarności, byłam przewodniczącą związku w wydawnictwie Epoka. Dyskusje, strajki – żyłam tym. I nagle stan wojenny. Czarna dziura. Wtedy zaczęła się bezsensowność. Nie walczę z tym. Tak jak nie walczę z paleniem.

Lubię się porządnie zmęczyć. Wtedy myśl, że wieczorem wrócę do pustego mieszkania, zrobię sobie herbatę i wezmę książkę, jest przyjemna. Gdybym miała siedzieć beczczynnie wśród płyt i książek Jurka, zwariowałabym.

Całe lata byłam źle ubrana, uczesana. Nie chodziłam do fryzjera, bo się bałam, że mi włosy wypadną. A zawsze chciałam mieć piękne rzeczy. I jak przyszły pieniądze, to puściły mi hamulce, zapadłam na chorobę kupowania.

Gdy spojrzę w lustro, mówię sobie: „Paradowska, jak na siedemdziesiątkę to się dobrze trzymasz. Mogło być gorzej”. A nic nie robię ze sobą. Żadnych botoksów.

Na wiele wydarzeń w swoim życiu nie miałam wpływu. Ale myślę też, że życie mi się mimo wszystko nad podziw dobrze ułożyło.

ŚMIERĆ

Co zostanie po Paradowskiej? Felietony w zakurzonych zszywkach. A co mnie to wtedy będzie obchodzić? Najgorzej to zacząć się nad sobą zastanawiać i roztkliwiać. Wiem, że dzisiaj trzeba się grzebać we własnej duszy i chodzić do psychoanalityka. Ale to już młodzież niech chodzi.

Bardzo chcę mieć portret, który zostawiłabym moim bratankom. Na razie wrzuciłabym go gdzieś za szafę, a po mojej śmierci bratankowie by sobie go powiesili i mówili: Ciotka nie była taka zła.

Nie myślę często o swojej śmierci. Tylko o tych, co umarli. Rozmawiam z Jerzym, moim mężem, opowiadam mu o spektaklu, który obejrzałam, czy o filmie. I jestem zła na niego, że już tego nie zobaczy. Na pewno oglądałby mecze, mimo że nie był kibicem, ale uważał, że jak są mistrzostwa, to zobaczyć trzeba. We dwójkę byśmy sobie jeździli samochodem z chorągiewkami. I taka mnie złość nachodzi.

Mam też poczucie, że mój mąż jest we mnie. Przejęłam jego pewne nawyki i myśli.

Chciałabym umrzeć tak jak Jurek – szybko. On zawsze powtarzał: Chcę umrzeć przed tobą, bo ty sobie w życiu dasz radę, a ja bez ciebie – nie. Tylko dlaczego zrobił to tak wcześniej, gdy mieliśmy jeszcze tyle do zrobienia.

Grób mam załatwiony, obok Jurka. Zostanę skremowana – to też wiem. Bo jak się idzie na grób skremowanych osób, to człowiek sobie nie wyobraża, co jest w środku. Wie, że jest proch. A proch oznacza spokój.

Żałobę nosi się w środku. Czas na nią przychodzi później, kiedy minie cały ten pogrzebowy rozgardiasz.

Janina Paradowska 1942–2016

Polityka według Janiny

Dla Janiny Paradowskiej polityka oznaczała nie tylko brutalną walkę o władzę, spektakl emocji i ambicji. Zawsze szukała w niej głębszego sensu, propaństwowej misji. Była w tym coraz bardziej osamotniona.

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA



POLITYKA o polityce pisała zawsze. W epoce, gdy nie dało się tego robić swobodnie, czyli przed 1989 r., czyniła to na różne inne sposoby i poprzez tematy pozornie niepolityczne. Gdy zaczęła wyłaniać się nowa Polska, czyli pod koniec lat 80., możliwości pisanie o polityce najpierw się poszerzały, a potem, kiedy zlikwidowano cenzurę, otworzyły na oścież. Już przy Okrągłym Stole zaroilo się od dziennikarzy, którzy zaczęli uprawiać jak gdyby nowy zawód, czyli pisać o polityce coraz bardziej demokratycznego państwa.

Wśród nich była Janina Paradowska, wówczas dziennikarka „Życia Warszawy”. Zdążyła już pracować w kilku redakcjach (m.in. „Kurierze Polskim”), w których – jak sama to po latach mówiła – pisała o wszystkim i dla których objeżdżała cały kraj. Robiła wywiady, miała się publicystyki, pisała reportaże, jak trzeba było, to o turystyce, jak trzeba, to o szkolnictwie wyższym czy niższym. Ale gdy znalazła się przy Okrągłym Stole, poczuła, że to polityka jest jej żywiołem i dziennikarskim wyzwaniem. „Przy obsłudze obrad Okrągłego Stołu zostałam po raz pierwszy dopuszczona do zajmowania się polityką. Powstała wtedy fajna wspólnota dziennikarzy. Wszyscy wywodziliśmy się jako z Solidarności. O takich głębokich podziałach jak dziś nie było mowy. Mimo różnic łączyło nas poczucie wygranej” – wspominała później w jednym z wywiadów.

Poczuła wtedy, że demokratyczna polityka jest niesłychanie ważną dziedziną życia, bo reguluje wspólne dobro, więc sama może być dobrem – wbrew powszechnej i utrzymującej się do dzisiaj opinii, że jest sferą nieczystą, bagnem, do którego nie warto wchodzić. Nawet w ostatnich dniach swego życia potrafiła zwracać uwagę kolegom, by nie mówili o polityce jako o męczącym dopuszczeniu bożym, by podchodzili do niej z szacunkiem. Często mitygowała to, co uznawała za przejawy hysterii w ocenie zdarzeń, za nadmierną emocjonalność. Czasami pytała: „panowie, co wy tacy smutni, stało się coś?”. „No, dobrze nie jest, demokracja trzeszczy”. „Eee tam, nie przesadzajcie, wszystko minie”. W sobie znany sposób łączyła pasję z pragmatyzmem, z cierpliwością do spraw dużych i małych.

Po Okrągłym Stole Janina przy polityce już została, wędrowała za nią wszędzie, gdzie była uprawiana. Takim specjalnym miejscem skupienia energii politycznej, tworzenia się nowego państwa i nowego ustroju, stał się wtedy Sejm wybrany 4 czerwca 1989 r., zwany kontraktowym. W ciągu kilkunastu następnych miesięcy Paradowska na gorąco donosiła, cóż takiego parlament uchwalił, co z tym zrobił rząd, jak kształtowały się poglądy i interesy, jakie powstawały środowiska polityczne i konflikty między nimi.

W tym czasie, nie wychodząc właściwie z gmachu przy Wiejskiej, zbudowała swoje pierwsze kontakty ze światem polityków, wdarła się do świadomości wielu z nich na długie lata. I to polityków z różnych stron sporów, którzy nawet ze sobą nie rozmawiali, a z Janiną Paradowską zawsze. Tak powstawał słynny notes adresowy Janki, w którym były telefony do wszystkich ważnych, w tym ich telefony prywatne. Choć miała tu zasadę: do najważniejszych osób w państwie, nawet jeśli je dobrze znała, prywatnie nie dzwoniła, zawsze korzystała z pośrednictwa sekretarek i asystentów. Stawało się jasne, że z tą akurat dziennikarką warto rozmawiać, zrozumie to, co słyszy, lojalnie nie nadużyje udzielonego zaufania. Napisze, co sama uważa za słuszne i prawdziwe, ale wedle miar i wag, które są czyste.

POLITYKA po 1989 r. przechodziła wewnętrzną i głęboką, nazwijmy to, reformę, szukała dopasowanej do niej metody opisu i zrozumienia nowej rzeczywistości. Od początku przyjmowano założenie, że redakcja nie tylko w sensie podmiotowym, ale także treściowym powinna pójść całkowicie na swoje. Było jasne, że redakcja popiera nową Polskę, że będzie jej służyć, ale

ze zrozumieniem, że wielu czytelników ma prawo mieć swoje strachy i wątpliwości, czuć niepewność, i że ważne jest, by tygodnik razem z nimi przeszedł drogę od starego do nowego. Dlatego redakcji potrzebny był autor nowej specjalizacji, reporter polityczny, który śle depesze z frontu, ale jednocześnie rozumie, w jakiej sprawie toczy się wojna i kto jest kim.

Janina Paradowska była kandydatką idealną, jeszcze do tego znała się dobrze z wieloma kolegami z POLITYKI z lat wcześniejszych. Utożsamiała się z tymi cechami i wartościami tygodnika, które czyniły go obiektem przywiązania wielu czytelników, ale też obiektem niechęci, a z czasem nienawiści wszystkich ksenofobów, bigotów, nacjonalistów, radykałów, spóźnionych antykomunistów.

Janina dołączyła do redakcji w 1991 r. i stanęła na czele utworzonego działu politycznego, którego wcześniej w POLITYCE nie było (redakcja słusznie bowiem przed 1989 r. zakładała, że istnienie takiego działu nakładałoby obowiązki pisanie propagandowych czytanek o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem). I tak po kilku przetasowaniach ułożył się trójkąt: Paradowska–Janicki – Władysław, który lokował się przy trzech biurkach w małym pokoiku przy warszawskiej ulicy Dubois. Dzieliliśmy się nawet funkcjami: najpierw szefem działu była Janka, potem Władysław, a potem Janicki.

Takie były początki. Były to jeszcze czasy, kiedy w biurach się paliło, i tak w oparach papierosowego i fajkowego dymu toczyły się dyskusje, wyłaniały tematy. Na redakcyjne zebrania Janka wkładała z nieodłączną torebką, na którą zawsze było przygotowane oddzielne krzesło. Z torebki często odzywał się telefon, na co Janka niezmiennie reagowała: „przecież wyłączyłam”. Zabierała głos niemal na każdy temat, szukając drugiego i trzeciego dna w rozmaitych wydarzeniach, jakie przynosiło życie publiczne.

Wygłaszała z zapalem swoje racje, ale potrafiła też bardzo uważnie słuchać innych. Chciała ogarnąć wszystko, jakby z lękiem, że coś jej umknie, że czymś się nie zdąży zająć. Czasami do rozpaczki doprowadzała próbujących zbalansować tematy tygodnika redaktorów, mówiąc: „zostawcie mi z przodu trzy kolumny na coś aktualnego”. Potem zaczęła pisać cotygodniowe felietony, gdzie mogła zajmować się wszystkim, według własnej hierarchii spraw. Dla niej polityka była tasiemcowym serialem, który trzeba żmudnie opisywać. Sama o sobie mówiła, że jest rzemieślnikiem, skrybą, świadkiem wydarzeń.

W tej dziedzinie osiągnęła wyjątkową biegłość – wnikliwą i wyczerpującą faktograficznie historię polityczną III RP można oprzeć tylko na jej tekstach. Kiedy się je dzisiaj przegląda, widać, jak przez ćwierć wieku była krytyczna wobec wszystkich sprawujących władzę ugrupowań, jak je ganiła za nieróbstwo, marnowanie czasu, partyjniactwo, pazerność na posady, łamanie zasad życia publicznego i zwykłej przyzwoitości. Każdy mógł się zderzyć z jej surowym osądem, każdorazowa władza i opozycja. Kiedy dzwoniła do polityków, nie owijała w bawełnę i już w pierwszych słowach mówiła: „ale palnęliście głupstwo”, „nie wstyd wam?”. Wydawała się przy tym całkowicie odporna na marketingową stronę polityki. W gruncie rzeczy lekceważyła ten cały polityczny teatr, huczne konwencje, baloniki, wiekopomne przemówienia. Obnażała programowe ubóstwo, jakie stoi dzisiaj za tymi imprezami.

W 2007 r. Janina wspominała: „Dziennikarstwo polityczne po 1989 r. rodziło się właściwie od początku, niewiele też dawało doświadczenia dziennikarstwa przedwojennego, a próbowałam je poznać, wiele czytając i studiując, niemniej właściwie trzeba było znaleźć jakąś własną metodę i styl pisanie, tak by dobrze oddawały sensy i istotę polityki polskiej kształtującej się Trzeciej RP, jakże inne niż te cechujące Drugą RP. (...) Miałam też wrażenie, że różne teorie politologiczne słabo sprawdzają się w kraju, który w szybkim tempie doko- ►

Janina Paradowska 1942–2016

► nuje transformacji i przechodzi przez wielki eksperyment historyczny. Nie ma co ukrywać, że występowało i u nas, publicystów, powszechne przekonanie, że polityka ma służyć jednoci moralno-politycznej narodu, a konflikty i napięcia są tu niepotrzebne. Pospiesznie więc wyrokowaliśmy, że oto ma miejsce jakiś kolejny kryzys, że wojna, że zamach, katastrofa, tak jakby konflikty nie były istotą demokracji, a jej zadaniem nie jest unikanie konfliktów – jako przecież naturalnych i koniecznych – a ich przezwyciężenie”.

To interesujące podsumowanie początków odrodzonego dziennikarstwa politycznego powstać jednak mogło po wielu w sumie latach, po tysiącach tekstów, po analizie kolejnych przełomów, zagadek i niespodzianek, które przynosiła żywa historia III RP. Trudno jest nawet wskazać jakiś jeden, wyróżniający się tekst Janiny Paradowskiej, jakiś taki wskaźnikowy i pomnikowy. Nie na tym przecież polegał jej fenomen. Ale na obfitości artykułów i wypowiedzi, które wszystkie się do siebie dokładały; na nieustannym, uporczywym, nękającym dziennikarstwie, chwytającym politykę *in statu nascendi*, nawarstwiającej się, dziejącą codziennie. Czy chodziło o zaplecza polityczne, problemy branżowe, prace ustawodawcze, także na poziomie komisji parlamentarnych, samorządy, struktury partyjne – wszędzie Janina była uważnym obserwatorem, znawcą kodeksów i urzędowych pism. Z tych kwalifikacji i z tej pracy wyrastała pozycja dziennikarki, a także jej popularność.

Cechą główną tego pisarstwa, jego zasadniczą treścią była aprobata dla III RP, choć krytycyzm Paradowskiej wobec zachowań i decyzji kolejnych ekip wskazywałby pozornie na coś przeciwnego. Tak nie było. W sumie można powiedzieć, że w tym pisarstwie przebiegała się myśl czy też zgoda na kolejne próby podejmowane przez kolejne rządy wprowadzania własnych programów i pomysłów.

Każdemu dawała szansę, bo tak rozumiała sens walki demokratycznej i wprowadzany przez nią płodozmian polityczny. I każdemu wystawiała rachunek, gdy zawodził. Mówiła jak gdyby: teraz następny z kolejki. Przy takim założeniu Janinę stać było na własne, czasami kontrowersyjne poglądy. Należała zawsze do wielkich adoratek Lecha Wałęsy, także jego prezydentury, co przez lata było opinią raczej odosobnioną. Ale zaakceptowała też model prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego. Starła się – dokąd to się udawało – zachować nadzieję przy każdym nowym rządzie, w każdej nowej decyzji najpierw dopatrywała się jakiejś słuszności i dobrej woli. Dopiero gdy już traciła nadzieję, przechodziła do krytyki, a wtedy była zadziorna i dokuczliwa.

Jej osobowość publicystyczna mogła się dopełnić dzięki wyjątkowemu partnerstwu z Jerzym Zimowskim, największą – jak sama mówiła – miłością swojego życia, wybitnym politykiem i prawnikiem, przez kilka lat podsekretarzem stanu w MSWiA, wielkim erudyta. Jerzy był wzorcowym państwowcem, teoretykiem i praktykiem w dziedzinie państwa i prawa. Janina miała więc w domu własnego eksperta i znawcę.

Publicystka Janiny Paradowskiej z biegiem lat stawała się coraz dojrzała, choć nie traciła nigdy na swojej aktualności, a tezy i wnioski, które proponowała, znajdowały wsparcie w silnych aksjomatach i regułach cechujących demokrację liberalną i państwa prawa. To nie były mentorskie wykłady i manifesty, to była instruktażowa aplikacja wartości i przekonań do bieżącej analizy politycznej. Bo polityka miała służyć zasadom i warto-

ściom, nigdy odwrotnie. Może politycy nie są aniołami – zdawała się mówić Janka – ale nie wolno im pobić, godzić się na niskie standardy, tolerować bylejakie myślenie i działania. „Naszemu politykom brakuje profesjonalizmu, na który składa się też kultura polityczna i osobista, świadomość prawna i świadomość ograniczeń. Bez przerwy wkraczają do polityki zastępy amatorów, którym się zdaje, że wszystko mogą. Nie rozumieją, co to znaczy państwo prawa. Co więcej, mają w pogardzie wszystkie standardy i tę butę oraz pogardę widać coraz bardziej” – uważała Janina. Dlatego też stała się tak wyrazistym obrońcą III RP przed IV RP i dlatego też była tak silnie atakowana przez propagandystów PiS. Niewiele sobie z tych seansów nienawiści i pomówień robiła. Machała tylko ręką, nie chciała nawet tego czytać.

Świat polityczny według Janki miał swój porządek, zasady, hierarchię wartości, przynajmniej miał mieć, o to się upominała i do tego dążyła. Jednak jej konkretna wiedza o tym, jak się politykę robi, nie czyniła z niej na szczęście irytującej idealistki. Rozumiała politykę jako sztukę osiągania celów, walkę, której służy specjalna moralność i do której uprawiania na najwyższym

poziomie trzeba się po prostu urodzić. Fascynowali ją tacy właśnie politycy, z historii, którą się pasjonowała, ale też ci współcześni, a wielu z nich, właściwie wszystkich, osobiście znała. Jej dziennikarskie przesłanie można ująć następująco: miej poglądy, hierarchię wartości, ale jednocześnie zachowaj dystans, poznawczy chłód, nie ulegaj owczemu pędowi, nie idź na łatwiznę.

Dla POLITYKI Janka była bardzo ważna, ale też szybko wyszła poza gazetowe ramy, stając się jedną z pierwszych multimedialnych komentatorek. Przez wiele lat prowadziła i współprowadziła programy w telewizji (status celebrytki przyniosła jej „Godzina szczerości”, w ostatnich latach miała program w Superstacji)

i Radiu TOK FM, regularnie pisała bloga w POLITYCE, brała udział w konferencjach i panelach, prowadziła promocje książek i dyskusje, zajęcia ze studentami. Zasiadała w jury konkursu na najlepszą powieść kryminalną. Jej pracowitość, sumienność, ale i zaborczość, jeśli chodzi o tematy, stały się przysłowiowe, były także powodem do strojenia z Janki żartów, o które zresztą się nie obrażała. Była staranna w relacjach koleżeńskich, zawsze gotowa pomóc, zawsze przy tym elegancka i dyskretna.

Janka była też wielką wojowniczką, dokuczliwą polemistką, walącą prawdę prosto w oczy. Ale bez przesady. Miała w końcu poczucie humoru, w tym także autoironiczne. Może z wyjątkiem strojów. Wiadomo było, że aby Jankę udobruchać, należało wręcz w teatralny sposób zachwycić się nową torebką, butami czy kurtką. Po jej ulubionym zapachu perfum można było poznać, że jest w redakcji, że przed chwilą musiała tędy przechodzić.

Była wielką damą, ale też apodyktyczną miłośniczką swoich racji. Była bardzo przyjacielska, ale czasami humorzysta. Na zewnątrz mogła się wydawać chłodna i z dystansem, w bliższej relacji bardzo ciepła i uczuciowa. Na pewno była nie do podrobienia, jedyna w swoim rodzaju. Nie do zastąpienia.

W każdy czwartek na redakcyjnym kolegium nachylała się nad krzesłem z ustawioną torebką i scenicznym szepem pytała: „Czy »Tydzień« może być na niedzielę, czy chcecie wcześniej?”. Już nigdy nie zapyta. Dwa krzesła pozostały puste.

Zegnaj Janeczko.

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA



Janina Paradowska z kolegami z „Kuriera Polskiego”, 1981 r.

Nowy Jork

**10 minut skrótem z Mokotowa,
potem już prosto!**

Lotnisko Chopina – blisko świata



**LOTNISKO
CHOPINA
WARSZAWA**

[Kup książkę](#)

Uszczelnianie pęknięć

W Warszawie NATO musi zdecydować nie tylko jak i przed kim, ale także czego i jakich wartości chce bronić.



Pamiętkowe zdjęcie z natowskich ćwiczeń Anakonda 2016 w Polsce

Spotkania przywódców państw Sojuszu Północnoatlantyckiego z reguły odbywają się co dwa lata. Zjazdy są krótkie, z noclegami trwają góra kilkadziesiąt godzin. Materią spotkań są korekty strategii sojuszu w reakcji na nowe lub najpilniejsze zagrożenia oraz rozwój aktualnych wypadków: teraz szok po Brexicie, Rosja, Państwo Islamskie (a w kuluarach m.in. pewnie finałowa faza piłkarskiego Euro). Biorąc pod uwagę, że na Stadionie Narodowym pojawia się kilkudziesięciu ważnych i ważniejszych polityków z Europy i Ameryki, spraw do omówienia jest wiele, trzeba odbyć po kilka spotkań dwustronnych (i wykonać pamiętkowe zdjęcie grupowe), to na żywe dyskusje w pełnym gronie czasu za bardzo nie ma.

Bywały szczyty, kiedy faktycznie się spierano. Jak w Bukareszcie w 2008 r. – wtedy NATO było chyba u szczytu swojej potęgi – gdy dyskutowano o zaproszeniu do sojuszu Ukrainy i Gruzji. Rok później we francuskim Strasburgu i niemieckim Kehl nie bez trudności wybierano nowego sekretarza generalnego. Ale choć stanem skupienia organizacji międzynarodowych są właśnie takie spotkania, to w przypadku NATO z dużym wyprzedzeniem szczegółowe ustalenia przyjmują ministrowie obrony i spraw zagranicznych. Szczyty muszą być przygotowane, bo kwestie wojskowe to głównie technika, budżetowe zawiłości, plany przetrwania ludzi i sprzętu. Przywódcy rzadko się na nich znają, co nie umniejsza rangi decyzji ogłaszanych na szczytach.

Tematyka spotkań to nic innego jak lista zagrożeń, przed którymi powinniśmy się bronić zwartym szeregiem. Ian Anthony i Ian Davis ze Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem tak układają porządek spraw, które powinny dominować w Warszawie:

- konflikt na Ukrainie i stosunki z Rosją oraz wzmocnienie wspólnej obrony;
- namysł nad wykorzystaniem odstraszania atomowego (to też z uwzględnieniem Rosji i tarczy rakietowej);
- zabezpieczenie cyberprzestrzeni i szukanie rozwiązań dla tzw. łuku kryzysu, ciągnącego się od Afryki Północnej po Bliski Wschód;
- plany przyłączania nowych członków (w maju uruchomiono proces przyjmowania Czarnogóry) oraz
- zdopingowanie członków do wydawania na obronność co najmniej 2 proc. PKB.

Tu Polska jest jednym z tylko pięciu państw na 28, które ten postulat spełniają. Ze szczytu na szczyt porządek dzienny wygląda podobnie, w minionych latach różniła się głównie kolejność zagadnień. Tym razem, nie tylko z polskiej perspektywy, najważniejsza pozostaje Rosja.

Agresywna polityka prezydenta Władimira Putina, anektowanie w 2014 r. Krymu, wywołanie wojny z Ukrainą w Donbasie i groźby dalszej ekspansji zrewidowały strategię sojuszu. Zjednoczyły go i skłoniły, by wrócił do korzeni: już nie misje w dalekich krajach i gonienie partyzantów w Afganistanie i w Iraku, ale wspólna obrona własnego terytorium znów staje się priorytetem. Na dodatek NATO w porównaniu z pobrexitową Unią wyrasta na najważniejszą – choć nigdy poważnie nieprzetestowaną – instytucję atlantyckiego Zachodu. – *Odswuwanie się Wielkiej Brytanii od Unii może się przełożyć na zwiększenie wagi NATO, które będzie toczyło bardziej polityczne dyskusje* – uważa Jüri Luik, szef Międzynarodowego Centrum Obrony i Bezpieczeństwa w Tallinie, były estoński minister obrony i spraw zagranicznych, ambasador Estonii: w Moskwie, w Waszyngtonie i przy NATO.

W ciągu dwóch lat po szczycie w walijskim Newport, w reakcji na działania zielonych ludzików na Ukrainie i na Krymie, powołano tzw. szpicę, siły najszybszego reagowania – są niewielkie, zaledwie kilkutyśne, składają się z żołnierzy z Holandii, Niemiec i Norwegii, za to można je przerzucić do dowolnego państwa NATO w ciągu dwóch, trzech dni. Szpica wchodzi w skład tzw. sił odpowiedzi, od tego roku liczących 40 tys. żołnierzy, którzy do działania powinni być gotowi w ciągu półtora miesiąca. To oddziały tworzone na wypadek wybuchu konfliktu zbrojnego. By zniechęcić Rosję do ataku – dowódca US Army w Europie gen. Ben Hodges otwarcie przyznał, że konwencjonalne siły NATO są zbyt szczupłe i powolne, by zatrzymać Rosję, gdyby ta zdecydowała się najechać państwa bałtyckie – tej wiosny zapadła decyzja, że na Litwę, Łotwę, do Estonii i Polski trafi po jednym międzynarodowym batalionie. Wojsko będzie rotowało, wystawiają je Amerykanie, Niemcy, Brytyjczycy, ostatnio dopisali się Kanadyjczycy.

W formowaniu batalionów skorzystano z doświadczeń zimnej wojny, gdy na terenie Niemiec zachodnich wzdłuż granicy z NRD ustawiano podobne jednostki. – *Ta pierwsza linia nie ma żadnego*

znaczenia wojskowego – przyznaje Jüri Luik. – *Za to ewentualny atak na batalion złożony z żołnierzy pochodzących spoza państw bałtyckich automatycznie wciągnie w konflikt największe państwa sojuszu.* Eksperti od bezpieczeństwa nazywają taką strategię nastawianiem potykaczy (ang. *tripwire*), na wzór drutu rozciągniętego nisko nad ziemią i podłączonego do ładunków wybuchowych jako pułapka na wroga.

Dla Polski i państw bałtyckich nastawianie potykaczy to dobra wiadomość i najpoważniejsza gwarancja, że w razie konfliktu Amerykanie – to na nich jako najpotężniejszej sile militarnej świata wisi sojusz – ruszą z pomocą. Co prawda art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego przewiduje, że w razie napaści zbrojnej na jedno z państw członkowskich działa zasada wszyscy za jednego, ale jest ciąg dalszy: sojusznicy, spiesząc z pomocą, podejmują „działania, które uznają za konieczne”. W teorii mogą więc tylko wzruszyć ramionami i wyrazić ubolewanie. Ale gdyby w konflikcie zaczęli ginąć żołnierze amerykańscy, to Amerykanie musieliby na wojnę ruszyć. Wtedy też pewnie wielu amerykańskich obywateli dowie się, że ich kraj ma w Europie i Kanadzie sojuszników, a skrót NATO oznacza coś więcej niż rozpoznawalne w Ameryce National Association of Theatre Owners, czyli stowarzyszenie właścicieli kin.

Rosjanie oczywiście głośno protestują, ale batalion z około tysiącem żołnierzy to siła ledwie symboliczna. Natowskie uzgodnienia z Rosją, pochodzące jeszcze z epoki zimnej wojny (w tym zobowiązanie, że pod nosem Rosjan nie zostaną rozmieszczone istotne siły zbrojne), zakładały, że we frontowych państwach członkowskich mogą pojawić się jedna, maksymalnie dwie brygady na kraj, czyli jednostki znacznie większe od batalionów, zresztą absolutnie niewystarczające, by myśleć o jakiegokolwiek inwazji na Rosję. Cała sztuka z rozmieszczaniem międzynarodowych sił na wschodniej flance NATO, objaśnia Radosław Sikorski, były polski minister obrony i spraw zagranicznych, polega na tym, aby stacjonowało tu dość wojska, byśmy poczuli się bezpieczni i aby odręczało ono Rosję od ewentualnego ataku. Jednocześnie nie może go być za dużo, aby Rosja nie poczuła się zagrożona.

Tradycyjnie, jeszcze od czasów Eisenhowera, naczelnym dowódcą sił NATO w Europie jest Amerykanin. Z reguły zastępuje go – jak Eisenhowera marszałek Montgomery – generał brytyjski. Gen. Sir Richard Shirreff, do 2014 r. zastępca naczelnego dowódcy, wzywa obecnie, by sojusz zamiast skupiać się na zapewnieniach dla np. państw bałtyckich i Polski, co robił na szczycie w Newport, koncentrował wysiłki na budowaniu potencjału odstraszania potencjalnego wroga. To niezbędne, mówi gen. Shirreff, bo jest przekonany, że czeka nas wojna, którą Rosja zacznie w państwach bałtyckich: – *To kraj, który nie cofa się przed zmianą granic w Europie przy użyciu siły i rozwija potencjał wojskowy wystarczający do tego, by narzucać swoją wolę sąsiadom. Inwazja Krymu pokazała, że nie doceniliśmy i nie rozumieliśmy nastawienia Rosji.*

Polski rząd naiwnie wierzy, że zaniepokojenie Rosją jest na tyle duże, iż natowscy sojusznicy przejęci Kremlen machną ręką i nie zwrócą podwładnym Jarosława Kaczyńskiego uwagi, że naruszają konstytucję i demokratyczne wolności. – *Rozluźnienie politycznej integracji i powrót nacjonalizmów w Europie, czy w postaci Brexitu, czy retoryki polskiego rządu, francuskiego Frontu Narodowego albo postępów austriackiej Partii Wolności, zbiega się z koniecznością integracji wojskowej, najsilniejszej od zimnej wojny* – stwierdza gen. Shirreff. Tymczasem NATO jest organizacją polityczno-wojskową – nie na odwrót. Condoleezza Rice, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego republikańskiego prezydenta George’a W. Busha i za jego drugiej kadencji szefowa amerykańskiej dyplomacji, a dziś m.in. profesor uniwersytetu w Stanfordzie, przypomniała niedawno w Warszawie obawy, które na Zachodzie słyhać coraz częściej: świat, który powstał po drugiej wojnie, a którego NATO jest filarem, zaczyna się chwiać (objawy tego widzimy też w Polsce).

Rice przypomina, że u podstaw powojennego powodzenia Zachodu leżało przekonanie, iż wolny handel w ramach otwartej gospodarki zapewni społeczeństwom dobrobyt, a wolni ludzie żyjący w demokracjach nie będą mieli powodu, by rzucić się sobie do gardeł. Ten światowy porządek miał być zapewniony przez amerykańską potęgę militarną, gwarancjami dla Europy (ze zobowiązaniem wspólnej

obrony w art. 5 traktatu NATO), a w Azji obietnicami dla Japonii i Korei Płd. Ten system zadziałał: nie doprowadził do odrodzenia japońskiego i niemieckiego ekspansjonizmu, przetrwał ZSRR, przyniósł dobrobyt milionom.

Ale teraz porządek ten poddawany jest próbom, na które nie był zaprojektowany. Atakowany jest z niezarządzanych miejsc, np. dziś przez ISIS z obszaru między Syrią a Irakiem. Równolegle, korzystając z zachodnich niedomagań, rozrabiają inne wielkie potęgi, Rosja i Chiny. Putin próbuje rozmontować pozimnowojenny porządek, z punktu widzenia Rosji głęboko niesprawiedliwy, bo spychając ją na pozycję potęgi ledwie drugiej kategorii. Wielki kryzys finansowy 2008 r. okazał się nie tylko gwałtowną zapaścią rynku, pozostawił również niepokój, że mechanizmy gospodarki mogą być źle skalibrowane. Ten nastrój skłania z kolei do odrzucania wolnego rynku i globalizacji w obecnym kształcie, sprzeciwu wobec imigracji. Ponadto zwolennicy otwartości gospodarki i wolnego handlu – tu Rice mówi m.in. o sobie – zbyt łatwo przeoczyli, że wielu ludzi z tego systemu po prostu nie odniosło korzyści.

Populiści podpowiadają jakieś radykalne zmiany. Ta atmosfera udziela się i Europie, i Ameryce. NATO powstało z dwóch powodów: by bronić się przed Stalinem i by zjednoczyć państwa demokratyczne w wysiłku wspólnej obrony. By to umożliwić, Ameryka po wojnie widziała się w roli demokratycznego kleju pomagającego scalać sojuszników, wcześniej rywali lub wrogów – udało się uspokoić Francję przed zbrojącymi się Niemcami, a na Bałkanach pogodzić Bułgarię z Turcją czy Węgry z Rumunią. Teraz każde rozszczelnienie spoin osłabia cały sojusz, dlatego kondycja demokracji w państwach członkowskich jest tak ważna. I to na jej osłabienie liczą nasi potencjalni nieprzyjaciele. Takie przesłanie, niemiłe dla gospodarzy szczytu, zapewne z Warszawy pójdzie w świat.

JĘDRZEJ WINIECKI

Z wielkim smutkiem
przyjąłem wiadomość o odejściu



ŚP
Janiny Paradowskiej

Wspaniałej publicystki i dziennikarki.

*Serdeczne wyrazy współczucia dla rodziny oraz
przyjaciół z redakcji TOK FM i Polityki.*

Jan Krzysztof Bielecki



Kanał Panamski dla grubasów

Panama, mimo protestów ekologów, uruchomiła nową przeprawę.

Aby zatrzeć nie mile konotacje związane ze skandalem *Panama papers*, niezwykle hucznie urządzono tu inaugurację nowego, pogłębionego i poszerzonego kanału, głównego źródła miejscowych dochodów. Przyjechało pół setki zagranicznych polityków, w tym pani wiceprezydentowa Bidenowa, były ogień sztuczny i transmisja na żywo z dziewiczego przepłynięcia: rola ta, nie bez kozery, przypadła chińskiemu kontenerowcowi Cosco Shipping (dawniej Andronikos), pływającemu pod banderą Wysp Marshalla. Chiny to, po USA, drugi co do wielkości klient Panamczyków. Licząca 102 lata przeprawa zyskała nową nitkę oraz przerobione zestawy śluz, które pozwalają przepłynąć z Atlantyku na Pacyfik, i z powrotem, trzy razy bardziej pojemne statki. Podola też gigantycznym tankowcom ze skroplonym gazem ziemnym.

Budowa pochłonęła 5,3 mld dol., ale konsorcjum wykonawców pod hiszpańskim kierownictwem domaga się w arbitrażu kolejnych 3 mld. To niejeden kłopot. Rynek przewozów morskich przeżywa kryzys urodzaju: za dużo jednostek, za niskie stawki. Grono krytyków nowej przeprawy ostrzega, że może mieć fatalny wpływ na środowisko i zasolenie jeziora Gatun, głównego źródła wody pitnej dla Panamy. Wspomniani Chińczycy mają też w planach sfinansowanie budowy konkurencyjnego kanału nikaraguańskiego. Ale nie psujmy święta.

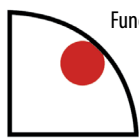
Clinton już wygrała z Trumpem. W Polsce

Gdyby u nas odbyły się wybory na prezydenta USA, Clinton wygrałaby je z czterokrotną przewagą. Ale Trumpowi ufamy bardziej niż inni w Europie. Poza Węgrami.

Na pytanie „kogo by poparli, gdyby mieli wziąć udział w amerykańskich wyborach”: 67 proc. Polek i Polaków wybrało Hillary Clinton, 16 proc. Donalda Trumpa. Gdy odliczymy głosy tych, którzy odmówili udziału w tych wyborach, uzyskamy wynik: Clinton – 81 proc., Trump – 19 proc. Uderzająca była 10-krotna przewaga pani Clinton wśród kobiet (73 proc. do 7 proc.) i tylko przeszło dwukrotna wśród mężczyzn (59 proc. do 26 proc.). Poza kobietą solidarnością zadziałała pewnie znana z wielu badań niechęć kobiet do polityków radykalnych, agresywnych i populistycznych. Największe poparcie Trump zyskał w grupie 18–29 lat (aż 34 proc.) i jest to kolejny sygnał, jak zrewoltowana jest generacja 20-latków. Badani deklarujący poparcie dla PO i Nowoczesnej niemal w komplecie wskazali Clinton. Ludzie PiS głosowali na Trumpa (24 proc.), ale i wśród nich wygrała Clinton (51 proc.). Trump triumfował tylko raz – w elektoracie partii KORWiN.

W niedawnym sondażu Pew Research Center w 15 krajach świata Polacy/ki wykazali/ły się tradycyjnie największym zaufaniem do USA. Nie przełożyło się to jednak na zaufanie ani do Obamy (europejska średnia 77 proc., u nas – 58), ani do Hillary Clinton (59 proc. do 41). Trump wypadł u nas słabo, ale lepiej niż gdzie indziej: ufa mu 15 proc., nie ufa 43 proc. Podobne proporcje (1:3) wystąpiły tylko we Włoszech. Były też dwa kraje bardziej trumpolubne: Węgry (20 proc. do 42 proc.) i Chiny (22 proc. do 40 proc.).

Sondaż IPSOS dla OKO.press 25–28 czerwca metodą CATI (telefonicznie) na ogólnopolskiej reprezentatywnej próbie 1001 osób.



OKO.press

Fundacja Ośrodek Kontroli Obywatelskiej OKO,
Nr konta: Bank Millennium
92 1160 2202 0000 0003 0434 1595
Dla wpłat z zagranicy:
BIC (SWIFT) – BIGBPLPW
PL 92 1160 2202 0000 0003 0434 1595

Turcji powrót do realu

Prezydent Turcji w obliczu kryzysu syryjskiego próbuje odbudować dobre relacje z Rosją i Izraelem.

Słaba pozycja międzynarodowa Turcji przeszkadza prezydentowi **Recepowi Tayyipowi Erdoğanowi** w polityce wewnętrznej i dlatego próbuje szybko coś z nią zrobić. Z naciskiem na „szybko” i „coś”, czego efektem był ostatni tydzień z krwawą kulminacją na lotnisku Atatürk w Stambule. 28 czerwca trzech terrorystów zabił tam 45 osób i ranili ponad 230. Tzw. Państwo Islamskie (PI) do niczego się nie przyznało, cechy ataku nie pozostawiają jednak wątpliwości. Nic nie usprawiedliwia mordu, ale turecki wywiad od tygodni ostrzegał przed takim zamachem, który może być związany z pełnym już zaangażowaniem Turcji w koalicję przeciwko islamistom.



Turcja, która jeszcze niedawno niechętnie walczyła z PI, teraz nie widzi lepszego sposobu na zachowanie wpływów w Syrii, bo wspierani dotychczas przez Turków rebelianci są coraz słabsi. Stąd również inny ubiegłotygodniowy gest ze strony Erdoğan, który wysłał do Moskwy quasi-przeprosiny za zestrzelenie w listopadzie rosyjskiego bombowca. Prezydent Turcji liczy na to, że udobruchana Rosja przestanie wspierać Kurdów.

I w końcu ostatni ruch w tym burzliwym tureckim tygodniu – normalizacja stosunków z Izraelem. Od 2010 r., gdy izraelscy komandosi wtargnęli na statek z pomocą dla Strefy Gazy i zabili 9 tureckich obywateli, oba państwa zerwały relacje. 29 czerwca konflikt wygasł: Tel Awiw zgodził się dopuścić turecką pomoc dla Gazy i zapłacić odszkodowanie za śmierć Turków. Teraz państwa wymieniają ambasadorów i łączą siły w antyirańskiej koalicji. W ten sposób Erdoğan próbuje porzucić skompromitowaną politykę mocarstwową w regionie i wrócić do tej realnej.



Dziesiątki tysięcy londyńczyków wyszły na ulice miasta 2 lipca, by zaprotestować przeciw kłamstwom brexitowców i zmanifestować wolę pozostania w Unii Europejskiej.

Brexit? Jaki Brexit?

Szok, zamęt, przetasowania personalne, skoki notowań na giełdach, nerwowość po obu stronach kanału i Atlantyku – tak minął pierwszy tydzień po Brexicie. „Wielka Brytania, pozbawiona przywództwa i podzieleną, zaczyna poznawać, jak smakuje życie po odłączeniu od Unii” – napisał tygodnik „The Economist”. Przegrany premier David Cameron, sprawca nieszczęścia, chwile się, choć liczył, że wygra referendum, a to wzmocni jego i partię. Konserwatyści ogłaszają, że partia wybierze nowego lidera, a zatem i nowego premiera, do 9 września.

Na zamkniętej już liście kandydatów nie ma Borisa Johnsona, twarzy kampanii za Brexitem. Ale jest na niej minister sprawiedliwości Michael Gove, który wbił nóż w plecy Johnsonowi, choć obaj agitowali za wyjściem. Gove po wygranej ogłosił, że Johnson nie nadaje się na premiera, i sam zgłosił swoją kandydaturę. Johnson zamilkł. Na razie największe poparcie wśród torysowskich posłów ma szefowa MSW Theresa May. Inaczej niż Gove, pozostała lojalna wobec Camerona, agitowała za pozostaniem, ale podkreśla, że wynik referendum musi być uszanowany. Trzecią wyróżniającą się kandydaturą jest minister energetyki Andrea Leadsom, która podkreśla, że nowym premierem nie powinien być ktoś, kto był przeciwko Brexitowi.

Pojawiło się jednak pytanie, czy lepszym rozwiązaniem nie byłyby przyspieszone wybory do Izby Gmin. Demokratyczny mandat i pozycja negocjacyjna ich zwycięzcy byłyby przecież jeszcze silniejsze. Obie główne partie nie kwapią się jednak do tego scenariusza. W opozycyjnej Partii Pracy doszło do buntu przeciwko przywódcy Jeremy'emu Corbynowi. Socjalista starego, przedblairowskiego pokroju, prowadził kampanię za pozostaniem, tak, jakby de facto był za wyjściem. 28 czerwca Corbyn nie uzyskał wotum zaufania we własnej frakcji

parlamentarnej, ale ma wciąż poparcie lewicowego elektoratu, więc oświadczył, że nie ustąpi.

Obu partiom zadrżało w oczy widmo rozłamu na tle Brexitu. Jego zwolennicy drwili przed referendum z argumentów przeciwników wyjścia. Nazwali ich kampanię za pozostaniem w Unii „Projekt Strach”. Teraz przycichli, bo sami wydają się być przestraszeni – właśnie strachem przed konsekwencjami Brexitu komentatorzy tłumaczą niespodziewaną rezygnację Nigela Farage’a z funkcji szefa Partii Niepodległościowej (UKIP). Niejasna jest sprawa jedności państwa brytyjskiego. Szkocja i Irlandia Północna głosowały w większości za pozostaniem. Nicola Sturgeon, szefowa regionalnego rządu szkockiego, domaga się gwarancji od Londynu, że po wyjściu Szkoci zachowają unijne prawa. Nie wyklucza złożenia wniosku o referendum niepodległościowe.

Królowa Elżbieta II podczas wizyty w parlamencie szkockim wezwała do spokoju i opanowania. O to samo apeluje znany publicysta Timothy Garton Ash: unikajmy działań w pośpiechu, myślimy o „exicie z Brexitu”. Jak to zrobić? Są różne opcje: czekać, czy parlament brytyjski ratyfikuje wynik

Efekt Hofera

Austriackie wybory prezydenckie trzeba powtórzyć – orzekł Sąd Konstytucyjny. Zakwestionował drugą turę wyborów, w której wygrał kandydat Zielonych Alexander Van der Bellen, pokonując kandydata Austriackiej Partii Wolności Norberta Hofera i – jak pisały wówczas gazety – ratując europejską demokrację. Przewaga Van der Bellena nie przekraczała nawet 31 tys. głosów, co już wzbudziło wątpliwości jego przeciwników. Najlepszy wynik Hofera w pierwszej turze przeciwstawiany mocno średnim notowaniom Van der Bellena dawał jego przeciwnikom kolejny argument za tym,

referendum; powtórzyć referendum (zebrano już 4 mln podpisów z poparciem, w sobotę 2 lipca tysiące ludzi maszerowało w Londynie pod hasłem „Kochamy UE”), odwręcić odpalenie art. 50 traktatu lizbońskiego wszczynającego procedurę wyjściową. Póki sytuacja polityczna się nie ustabilizuje, trudno sobie wyobrazić jakiegokolwiek negocjacje brytyjsko-unijne. Minister Gove oświadczył, że mogą się rozpocząć dopiero w przyszłym roku i zakończyć w 2020.

Najpierw wyjdzie, a potem zaczniemy negocjacje, oznajmiła komisarz UE do spraw handlu Cecilia Malström. Brytyjczycy muszą najpierw sami wypracować stanowisko negocjacyjne. Co z cłami, co z podatkami i restrykcjami unijnymi do czasu wyjścia, co z obywatelami Unii pracującymi na Wyspach i z ponad milionem Brytyjczyków mieszkających w państwach Unii? Zanoś się więc na długie pożegnanie albo, jak kto woli, na długi rozwód.

Taktyka sił proeuropejskich na Wyspach polega na odwręcaniu decyzji, od których nie będzie odwrotu. Po drugiej stronie kanału nie brakuje polityków myślących podobnie. Ale są i jastrzębie. To nie Unia głosowała za Brexitem, tylko Brytyjczycy, przypomniawszy była socjalistyczna kandydatka na prezydenta Francji Ségolène Royal. Były polski minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski mówił w telewizji BBC, że winę za Brexit ponosi Cameron. Szef Rady Europejskiej Donald Tusk podkreślił, że choć sytuacja jest poważna, Unia chce iść dalej. Na szczycie Rady ustalono, że nie ma mowy o nowym porozumieniu z Brytyjczykami, nim nie zakończą się rozmowy rozwodowe.

Obecnie rządzący w Polsce obóz polityczny miał do powiedzenia na razie tyle, że winę za Brexit ponosi Tusk z Komisją Europejską oraz traktat z Lizbony, który trzeba pilnie zreformować. Polski głos został w Brukseli zignorowany. Jeszcze dalej poszedł prezydent Czech Miloš Zeman. Zaapelował o dwa referenda: w sprawie dalszego członkostwa kraju w UE i NATO.

ADAM SZOSTKIEWICZ

że wybory zostały sfalszowane. A do tego doszły doniesienia o nieprawidłowościach przy głosowaniu przez pocztę, zawyżonej frekwencji, która w niektórych miastach miała przekroczyć grubo ponad 100 proc., i o policzonych głosach, które musieliby oddawać zmarli. Ostatecznie wybory trzeba będzie powtórzyć – we wrześniu lub październiku.

Po Brexicie zwolennicy antyimigranckiego i antyeuropejskiego Hofera czują się prawie pewni zwycięstwa. Hofer byłby pierwszą w krajach UE skrajnie prawicową głową państwa. I kolejnym unijnym politykiem, który twierdzi, że Unia rozwija się w złym kierunku, więc Austriacy też powinni mieć prawo zdecydować, czy chcą nadal być jej częścią.

Parliament Square, mieszkanka Londynu uczestnicząca w Marszu dla Europy protestuje przeciw wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii.



W *Brexit Day* do Karola dzwoniła z Polski matka: synu, wracaj, jakoś damy sobie radę.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Hello Goodbye

Karol, piekarz z Małopolski, akurat był po nocce przy wypiekach dla zachodniego Londynu. Kładł się spać o świcie, prawdę mówiąc, wyniki referendum unijnego miał gdzieś, szef pozwolił mu wziąć kilka bułek na obiad, i wtedy ten telefon; Małopolska już wiedziała, co w zamorskim województwie. Matka była dzielna, ale płakała: synu, oni wyszli z Unii, uważaj na siebie, nie mów po polsku na ulicy, zadzwoń do Przemka, co u niego, będę się o ciebie zamartwiał, mam cię tylko jednego, synu.

Wyrzwał przez okno: arabskie kobiety prowadziły dzieci do szkoły, do metra na Ealingu szli Pakistańcy z bloku obok i kilku białych, Murzyn – ten co zawsze – już *bumował* pod spożywczym na rogu. Wszystko było normalnie, Karol poszedł spać.

Go home

Przez następne dni Londyn mówił tylko o Borisie – w metrze, pod pubem, w robocie ciągle Boris: co teraz robi Boris, Boris się przeliczył, świnia-Boris, Boris tego nie udźwignie lub bra-

wo Boris. Przychodzili klienci do zakładu i współczuli fryzjerkom: to was Boris załatwił. Julka, stylistka fryzur z East Endu, a jeszcze rok wcześniej spod Bydgoszczy, z ciekawości wklepała w internet: London, Boris. Ukazał się jej grubawy blondyn, rozczochrany, fajtlapowaty. Napisano: Boris Johnson, polityk, były burmistrz Londynu, twarz kampanii *Leave*, czyli za wyjściem Brytanii z UE; oraz że Boris chce wypędzać imigrantów, a sam ma tureckie korzenie po pradziadku.

Ten z wyglądu niegroźny człowiek miał więc coś przeciwko Julce.

Zadzwoiła do koleżanki z pełnej Polaków dzielnicy Hammersmith – poznały się na lotnisku Luton przed Wielkanocą, czekały na samolot tanich linii do Polski. Tamta – z niewykonanego zawodu nauczycielka, a z londyńskiej konieczności *baby sitterka* u angielskiego Hindusa – mówi: byłam w polskim sklepie, a ekspedientka opowiada, że sąsiadka z ulicy King, zawsze uśmiechnięta, mówiąca dzień dobry, nobliwa i biała angielska staruszka, teraz z uśmiechem pyta Polaków, czy już się spakowali.

A z kolei w niedzielę ta koleżanka dzwoni do Julki, że na drzwiach polskiego ośrodka w Hammersmith nieznani sprawcy napisali nocą sprayem, że Polacy mają spierdalać do domu. Nie gadaj po polsku na ulicy, radzi *baby sitterka*, jak dzwonią do ciebie z Polski, to oddzwaniaj z domu. Koleżanka dodaje, że jej pracodawca zrobił się nagle jakiś zimny i podkreśla z pięknym akcentem, że Londyn w swej gościnności wobec obcych zaszedł za daleko i musi wprowadzić *social corrections*.

Hindus chwali się, że jest w trzecim pokoleniu Brytyjczykiem, rodzina zaczynała tutaj od skromnej pralni. On głosował za Brexitem. Jest mu przykro z powodu obraźliwego napisu na drzwiach ośrodka polskiego, ale macha ręką, że tego rodzaju ksenofobią nie należy się przejmować, bo to z pewnością napisał jakiś naćpany Murzyn. Polska *baby sitterka* podejrzewa, że jej pracodawca i zarazem *landlord* to nie żaden Hindus, tylko zwykły Pakistaniec – a w Londynie to taka różnica jak w Polsce między kimś z miasteczka a kimś ze wsi.

Please stay

Joanna Młodzińska, przewodnicząca Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w bardzo polskiej przez ostatnie lata londyńskiej dzielnicy Hammersmith, czuła wstręt, patrząc na nienawistne żółte litery na drzwiach ośrodka. Mówi, że takie rzeczy nigdy wcześniej się nie zdarzały i że to Brexit uruchomił w niektórych ludziach ksenofobię, bo kampania za wyjściem z UE opierała się właściwie na jednym argumente: precz z imigrantami. Niewiele o gospodarce poza Unią, wolności podróży po Europie – tylko obcy wynocha. Obóz *Leave* wygrał, wielu poczuło, że teraz wolno wymierzać prywatną sprawiedliwość. Przy King Street, po sąsiedzku z polskim ośrodkiem, żyje londyński świat – biznesy azerskie, tureckie, arabskie, chińskie, hinduskie, japońskie, koszer, halal, staroangielskie *fish&chips*, a pierwsze wyartykułowane *fuck off back home* skierowano do Polaków. Sprawą zajmuje się policja.

W niedzielę rano, trzeciego dnia po *Brexit Day*, pracownicy POSK zmywali napis, by zdążyć przed pierwszymi gośćmi – przychodzą na wystawy, do księgarni, biblioteki, na obiad do polskiej restauracji; w ośrodkowym teatrze próbują do swojego spektaklu dzieci z angielskiej szkoły położonej ulicę dalej.

Tego dnia przyszło dużo więcej ludzi niż zazwyczaj – matki z dziećmi, przechodnie, sąsiedzi, przyjeżdżały nawet dalekie dzielnice miasta – Anglicy przynosili kwiaty, listy i czekoladki, pobliska restauracja przysłała Polakom tacę sushi. Spływały maile ze wsparciem z całej Wielkiej Brytanii. Pisano: jestem nauczycielem angielskiego, mam wielu polskich uczniów, jesteście porządnymi i ciężko pracującymi ludźmi. A także: proszę, zostańcie i wiedźcie, że jesteście mile widziani. Jesteście ludźmi, jakich nam w Zjednoczonym Królestwie trzeba, dużo nam dajecie. Głowa do góry. Mieszkam w Londynie całe życie i zawsze uważałem, że jedną z najwspanialszych rzeczy w moim mieście jest różnorodność; jestem dumny, że mam Polaków za sąsiadów.

Najpopularniejszym słowem w listach jest *Solidarity*. Niektórzy Anglicy piszą gorzko: nie jesteśmy już częścią Europy, ale ja jestem Europejczykiem w sercu. Inni bywają bardzo po ulicznemu bezpośredni: sorry za to, co te pizdy zrobiły.

Go home

Trzeciego dnia po *Brexit Day* Karol, piekarz, zadzwonił na East End do Przemka, brata ciotecznego, murarza, i pyta: jak ci tam po Brexicie? Po czym? – pyta Przemek. Brat nigdy nie był zbyt bystry, śmieje się Karol, poza tym jest w Londynie nowiutki. Jak się dowiedział, o co chodzi z wychodzeniem Anglii z Unii, spłoszył się. Nic nie wiedział, bo jest w brygadzie z prawie samymi Rumunami, jeżdżą po mieście, gdzie ich szef rzuci, i murują. Po angielsku znają niewiele ponad *thank you* i *kebab*

please, spicy. Dzielnica Przemka jest ściśle turecka, można iść ulicą przez pół godziny i nie widzieć białej twarzy, więc skąd miał się dowiedzieć? Widywał tylko w gazetach porzuconych w metrze imię Boris. A teraz pyta: będą nas wywalać? Przemek, świeżo ożeniony w Polsce, zarabia w Londynie na mieszkanie, małżonka też ma przyjechać na kasę do supermarketu ze sportem *Sports Direct* albo do sprzątania na lotnisku w Lutonie – już wszystko załatwione przez polskiego pośrednika – a tu się, kurwa, narobiło. Ale zarabiać trzeba, podsumowuje rozterkę Przemek, ślać do domu kasę.

Ciesz się, że nie masz dzieci, mówi bratu Karol.

Bo w telewizji BBC pokazywali rano polskiego 11-latkę z Huntington, który znalazł na ulicy ulotki: „Dosyć polskiego robactwa” i „Wróć do domu polskiego szumowiny”. W niektórych dzielnicach Londynu ktoś zadał sobie trud zalaminowania antypolskich ulotek, zanim podrzucił je Polakom pod drzwi. Są szkoły – takie informacje docierają do polskiej ambasady – w których po *Brexit Day* dawni dobrzy koledzy z klasy gnębią polskie dzieci: od przyszłego roku szkolnego już cię tu nie będzie, pakuj się. Rodzice dzwonią do londyńskich stacji radiowych, łamanym angielskim skarżą się, że dzieci po Brexicie boją się chodzić do szkoły. Brytyjski Krajowy Związek Dyrektorów Szkół już zwrócił się do rządu o pilne przysłanie instrukcji postępowania w przypadku mowy nienawiści, ksenofobii i rasizmu w szkołach.

W gazetach ludzie z organizacji społecznych deliberują bezsilnie, jak to w ogóle możliwe, że demonizowana w kampanii *Leave* postać ciemnoskórego obcego z okolic kebabowych budek, wyłudającego zasiłki socjalne, teraz obróciła się przeciw białym i pracującym obywatelom UE?

A przede wszystkim: co na to wszystko Boris? ▶

Z wielkim smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci



Janiny Paradowskiej

znakomitej komentatorki politycznej,
dziennikarki i publicystki.

*Rodzinie, Najbliższym i Przyjaciółom
składam głębokie wyrazy współczucia.*

Paweł Adamowicz
Prezydent Miasta Gdańska